

Spór o powstanie

Krzyż Powstania Styczniowego był także przystankiem na drodze do niepodległości. Wywalczyli ją w 1918 - razem z Powstańcami Wielkopolskimi - i obronili w 1920 (razem z Powstańcami Śląskimi) ci, którzy o Powstaniu roku 1863 pamiętali z największym szacunkiem - stwierdza prof. Andrzej Nowak w artykule Spór o powstanie, który przedrukujemy ze zbioru "1863" wydawnictwa Sic! w „Teologii Politycznej Co Tydzień” Nr 94: „1863: (Re)konstrukcja polskości”

Najprostszy sens

Powstanie Styczniowe. Wybuchło 150 lat temu, 22 stycznia 1863 roku. Objęło swym zasięgiem całe, wydzielone z zaboru rosyjskiego Królestwo Polskie, a także znaczną część tzw. guberni zachodnich Imperium Rosyjskiego (czyli ziem litewsko-ruskich dawnej Rzeczypospolitej). Przez szeregi powstańców przewinęło się nie mniej niż 100 tys. ochotników. Stoczyli przeszło 1200 bitew i potyczek z wojskiem rosyjskim (największe miały miejsce pod Małogoszczą, Skałą, Grochowiskami, Opatowem, Żyrzynem). I przegrali. Tak to musieli widzieć w 1865 roku, 23 maja, spędzeni pod szubienicę w Sokołowie Podlaskim mieszkańcy tego miasteczka i okolicznych wsi, spędzeni przez władze carskie, które uroczyście ogłaszały koniec „polskiego buntu”. Na szubienicy zawisł ostatni dowódca, generał i kapelan Powstania, ksiądz Stanisław Brzóska, który w okolicach Łukowa przetrwał do przedwiośnia 1865 roku. Bilans wydawał się wtedy

straszny. Blisko 20 tysięcy poległych i zabitych (w tym niemal tysiąc straconych z wyroku carskich sądów polowych), 35-40 tysięcy zesłanych na Syberię i w inne oddalone rejony Imperium, 10 tysięcy wyemigrowało. Potem nowa fala prześladowań, ograniczających jeszcze brutalniej niż przed powstaniem polskość pod rosyjskim zaborem.

Po co było to powstanie? Takie *nieszczęśliwe, przegrane, bezsensowne, tyle ofiar...* Po co je czcić? Właściwie chyba tylko tyle pamiętamy dziś o roku 1863: to poczucie, że było bez sensu, że to jeszcze jeden, niezrozumiały w najlepszym razie, zryw polskiego „szaleństwa”. Tyle przypomina nam stale ta sama, powtarzana od lat nuta: polskość to nienormalność, a esencją tej nienormalności jest tradycja powstańcza, tradycja przegranych insurekcji, martyrologii, tradycja najpełniej ucieleśniona w powstaniu 1863 roku. A jeszcze ta martyrologia, ta insurekcyjna tradycja tak nierealistycznie skierowana przeciw Rosji...

Ta sama nuta brzmiała także przy okazji 100 rocznicy Powstania. W roku 1963 państwo, nawet tamten gomułkowski PRL (zgoła inaczej niż III RP Donalda Tuska), nie miało co prawda żadnych wątpliwości, że pamiątkę zrywu z roku 1863 należy uczcić. Byli jednak mędracy, którzy – w „Tygodniku Powszechnym” – rozpisywali się o tym, jakim geopolitycznym szaleństwem był ów zryw: występować przeciw Rosji, o tyle od Polski silniejszej - to zbrodnia przeciw realizmowi. Zbrodnią drugą miało być to, iż Rosja podobno była jedynym z zaborców gotowym do ugody z Polakami.

Wtedy właśnie kardynał Stefan Wyszyński odpowiedział publicznie na programowy artykuł Stommy, ogłoszony w „Tygodniku Powszechnym”, w którym na kanwie bezapelacyjnego potępienia Powstania

Styczniowego, rzecznik „realizmu” podpowiadał po swoim potrzebę *otwarcia na Wschód*, to jest uznania geopolitycznego „prawa” Rosji i ZSRR do panowania nad Polską. Odpowiedź Prymasa nie miała jednak charakteru doraźnego. Kardynał Wyszyński dotknął w niej najbardziej fundamentalnej interpretacji polskości: „Wyczytałem ostatnio w prasie polskiej przedziwne zdanie. Ktoś, zastanawiając się dlaczego Powstanie wybuchło w Królestwie Kongresowym, a nie w Wielkopolsce czy też w Małopolsce, odpowiada sobie, że byliśmy podobno owładnięci „kompleksem antyrosyjskim”. Z tym wiązało się całe dalsze rozumowanie autora artykułu.

Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej nieprawdziwego [...] Gdy człowiek czy naród czuje się na jakimkolwiek odcinku związany i skrępowany, gdy czuje, że nie ma już wolności opinii i zdania, wolności kultury i pracy, ale wszystko wzięte jest w jakieś łańcuchy i klamry, wszystko skrępowane jak stalowymi gorsetami, wtedy nie potrzeba kompleksów. Wystarczy być tylko przyzwoitym człowiekiem, mieć poczucie honoru i osobistej godności, aby się przeciwko takiej niewoli burzyć, szukając środków i sposobów wydobywania się z niej.

Przyglądaliście się może kiedyś ptakowi, jak tłucze się w klatce? Wszystko pierze z piersi swojej wrywa... Zimny obserwator patrzący na to może powiedzieć - „głupi ptak!” Chociaż lepiej, aby po prostu otworzył drzwiczki i wypuścił „głupiego ptaka” na wolność. [...] Któż może się dziwić, że o klatkę w Polsce ustanowioną rozbijały się piersi „polskich ptaków”, aż pióra leciały, rany pozostawiające?!”

Łańcuchy polskiej niewoli

Co dziś, 50 lat po świętokrzyskim kazaniu kardynała Wyszyńskiego, powiedzieć można tym, którzy zastanawiają się nad sensem tamtego Powstania, nad polską tradycją insurekcyjną w ogóle?

Najkrócej powiedziałbym tak: **powstanie jest konsekwencją położenia**. A położenie było następujące: od 1717 roku to rosyjscy ambasadorowie sprawowali faktyczną „opiekę” nad polskim państwem, stopniowo pozbawiając je godności i zdolności do obrony własnych interesów. Kiedy rosyjska imperatorowa zaprotestowała przeciwko wyborowi przez Polaków ich kandydata na króla - w elekcji 1733 roku - i wysłała trzy korpusy wojska, by wybrali jeszcze raz, zgodnie już nie ze swoją, ale jej wolą - do polskiego języka politycznego weszło słowo „niepodległość”. Zaczęto powoli pojmować jej wartość, jej znaczenie, tak dla rozwoju Polski, dla jej interesów, jak i dla godności jej obywateli. I zerwało się pierwsze polskie powstanie w walce o niepodległość: konfederacja dzikowska (1734-1735). Rosja imperialna nie ustępowała jednak: chciała trzymać Rzeczpospolitą pod swoją pełną kontrolą. Prusy chciały Polskę rozebrać. Wybuchło zatem następne, tym razem wielkie powstanie: trwająca blisko pięć lat Konfederacja Barska (1768-1772). Prusy, Rosja i Austria wykorzystały ją jako pretekst do rozbioru. Ale dziedzictwo tamtej walki, krew w niej przelana przez dziesiątki tysięcy zdesperowanych patriotów, mobilizowała do nowej energicznej pracy dla odbudowy Rzeczypospolitej. Nie byłoby sukcesu Komisji Edukacji Narodowej, dzieła Sejmu Wielkiego, Konstytucji 3 Maja, odbudowy Wojska Polskiego - gdyby nie było tego wspomnienia, tego wyrzutu, jakim dla tysięcy rodzin tamtego pokolenia była wisząca na ścianie „pani barska”. Polska chciała się podnieść - Rosja i Prusy chciały ją położyć, do grobu. W odpowiedzi na interwencję rosyjską w 1792 roku wybuchło dwa lata później nowe, wielkie powstanie: kościuszkowska insurekcja. To nie był

wynik „kompleksu antyrosyjskiego”, to była kolejna reakcja ludzi, którzy zachowali honor i osobistą godność, reakcja na zniewolenie. Mądra reakcja, bo rozpoczynała nową, piękną, ważną na przyszłość tradycję: odwołania do chłopów, podstawowej masy ludności, która jeszcze do polskości nie weszła, a żeby do niej dojść musiała wyjść najpierw ze społecznego zniewolenia, z pańszczyzny. Wiek XIX był przede wszystkim wiekiem walki o to, czyi będą chłopi: „cesarscy” (a więc ostatecznie: rosyjscy, austriaccy czy niemieccy) - czy też staną się Polakami, świadomymi, dla których wzorem będzie Bartos spod Racławic, a nie Szela spod Wierzchosławic. I tę walkę Polacy, polska tradycja insurekcyjna, ostatecznie wygrali, jak to potwierdził rok 1920, zachowanie 800 tysięcy dzieci chłopskich powołanych pod broń, by bronić Rzeczypospolitej przeciw bolszewikom. Poszli z Polską, z Piłsudskim, a nie z Leninem.

Po ważnym epizodzie napoleońskim od 1815 roku ustalili się na sto lat nowy podział ziem Rzeczypospolitej. Warto przypomnieć jego proporcje, by zrozumieć, jak absurdalne są dywagacje rozmaitych „realistycznych geopolityków”, którzy szukają straconych szans dla polskiej niepodległości w ograniczeniu walki o nią do zaboru pruskiego czy austriackiego. Otóż od 1815 roku pod berłem carów Rosji znalazło się 82 procent terytorium Rzeczypospolitej przedrozbiorowej (tej w granicach z 1772 roku), pod berłem władców Austrii - 11 procent; Prus - 7 procent. Czy można było walczyć o polską niepodległość na 7 lub 11 procentach jej historycznego obszaru? Bez Warszawy?

Walka o niepodległość musiała się rozstrzygnąć w takim POŁOŻENIU między Polską a Rosją. Najważniejsze powstania musiały kierować się przeciw najsilniejszemu zaborcy. Oczywiście, można było zadać pytanie: czy nie ma szansy porozumienia, ugody z tym zaborcą? Na to

pytanie podchorążowie z Nocy Listopadowej 1830 roku usłyszeli odpowiedź ze strony carskiej władzy: tej, którą reprezentował senator Nowosilcow, a potem sam nowy car, Mikołaj I, nastawiony bezwzględnie na depolonizację wszystkiego na wschód od Bugu i na pełne podporządkowanie swej autokratycznej woli tego okrawka polskości, który ustanowiony został na kongresie wiedeńskim pod nazwą Królestwa Polskiego. Powstanie listopadowe było kolejnym wielkim zrywem w imię polskiej wolności. I ono przegrało.

A przecież przyniosło w swych skutkach dzieło niezwykłe: wzlot polskiej kultury romantycznej w największych dziełach emigracji polistopadowej. To wtedy polskość uzyskała swój nowy kształt, rozpoznawalny na całym świecie i przyciągający do niej tysiące nowych przybyszów: Pohlów (Wincenty Pol), Brucknerów, Matejków, Pereł Singerówien (pierwowzór Rachel z Wesela)... To był dźwięk *Etiudy rewolucyjnej* Chopina, słowa wierszy Mickiewicza, Słowackiego, dramatów Krasińskiego, obraz Somosierry Michałowskiego. Esencją tej porywającej polskości był patos walki o wolność, honor, odwaga, gotowość do POWSTANIA. To, a nie cokolwiek innego czyniło polskość tak atrakcyjną jak nigdy w jej historii.

Czy można było urządzić tę polskość inaczej, lepiej, wygodniej, spokojniej - pod rządami Rosji? To pytanie wracało znowu. I znowu jednoznacznej odpowiedzi udzielała władza rosyjska. Car Mikołaj I tak pisał do swego namiestnika w Warszawie, feldmarszałka Iwana Paskiewicza: *„Jeżeli chodzi o ten kraj, to choć zapewniasz, że za lat dziesięć dojdzie on do stanu, jakiego sobie życzymy, ja obstaję przy dziewięćdziesięciu siedmiu latach, ale bardziej liczę w tej mierze na rosyjskie bagnety i kartacze niż na inne środki; tylko strach, moim zdaniem, oddziałuje na Polaków. [...] powstrzymuje ich tylko strach i*

obawa przed utratą tego wszystkiego, co im jeszcze do stracenia zostało. Dopóki siłą naszą jest nie tylko liczebność wojskowa, lecz i nieubłagane środki zespolenia z Rosją, pozbawieniem ich wszelkiej odrębności, która stanowi resztkę ich rzekomej narodowości - dopóty mieć będziemy nad nimi przewagę, choć dopiero za jakiś czas i przy pełnej konsekwencji.” I z taką konsekwencją władze rosyjskie postępowały.

Najpełniejszy program skutecznej likwidacji polskości przedstawił i zaczął, jak się to dzisiaj paskudnie nazywa, wdrażać - Dymitr Gawryłowicz Bibikow, w latach 1837-1852 generał gubernator kijowski, a między 1852 i 1855 minister spraw wewnętrznych Imperium. Autor i egzekutor gigantycznej, opisanej m.in. przez Daniela Beauvois, operacji pozbawienia setek tysięcy szlachty polskiej jej praw stanowych, swoją Magna Charta rozprawy z Polakami przedstawił w memoriale do cara z 9 kwietnia 1839 roku, który odnalazłem kiedyś w kijowskim archiwum Bibikowa. Punkt pierwszy memoriału „O politycznej niepoprawności Polaków i zabranii im środków do jej wyrażania” (O złoumyszliennosti poljakow i otniatji u nich k tomu sriedstw), był prosty: raz na zawsze zlikwidować wszelką odrębność Polaków od Wielkorosji. Ciekawszy, bo praktyczny, był punkt drugi. Mądry generał-gubernator stwierdzał w nim, iż trzeba „zwrócić Polaków ku pokojowej aktywności, w stronę działalności handlowej i przemysłowej, do czego są całkiem skłonni (*obratit poliakow k mirnym zaniatijam, torgowoj i promyszliennoj diejatielnosti, k czemu oni wies'ma skłonny*). Przywiązanie do politycznej tożsamości polskiej, oznaczającej w strukturze Imperium bunt i rewolucję, okazuje się, w ujęciu rosyjskiego urzędnika, a wkrótce ministra spraw wewnętrznych całego Imperium, fatalnym obciążeniem dla samych Polaków. Jeśli uda się ich - przemocą - wyzwolić od prób powrotu do tej beznadziejnej sprawy, będą mogli osiągnąć szczęście i zrealizować się w sukcesie materialnym. Perspektywę takiego sukcesu

powinno im otworzyć Imperium. Wtedy wreszcie Polacy przestaną padać ofiarą „polonizmu”... Kiedy przestaną być Polakami - skończą się ich problemy. Kiedy tylko cały kraj stanie się jednoznacznie rosyjski, kiedy całe Imperium będzie nieodwołalnie rosyjskie, wtedy obecni Polacy zrozumieją, że ich szczęście polega na czymś innym niż walka o polskość. Może nie w pierwszym pokoleniu, ale w drugim już - ofiar nie będzie. „Można zakładać bez ryzyka jakiegokolwiek błędu, - pisał Bibikow w podsumowaniu kolejnego sprawozdania skierowanego do cara (w 1841 roku) - iż jeśli Polacy nie są zadowoleni ze stanu obecnego, to w przyszłości, kiedy surowość działania [carskiej administracji] uspokoi emocje i zlikwiduje szkodliwe marzenia, to dzieci ich będą błogosławić Rząd” (*Można położyć bezosobczono czto jeśli poljaki niedowolny nastojaszczim, to w buduszczim, kogda twierdost’ dejstvij umirit strasti i unicztodzi wriednyje mieczy, dieti ich budut blagoslawliat’ Prawitelstwo*).

Ale Polacy nie przestawali marzyć. Klęska Rosji w wojnie krymskiej (1853-1856), toczony przeciwko mocarstwom zachodniej Europy, a także zmiana na tronie carskim, ożywiła nadzieje, że ten bezwzględny kurs można odwrócić. Nowy car, Aleksander II, podczas pierwszej wizyty w Warszawie, w maju 1856 roku, nie pozostawił jednak żadnych wątpliwości, powtórzył w istocie, to co mówił zawsze jego ojciec, co wyłożył minister Bibikow: „*Monsieurs, point de reveries. Panowie, żadnych marzeń. [...] Szczęście Polaków zamyka się tylko w zupełnym zlaniu się z Rosją.*” A więc możliwe było inne, spokojne życie dla Polaków pod berłem rosyjskiego cara? Owszem, ale pod warunkiem, że pogodzą się ze statusem zbiorowego *dochodiagi* - wspólnoty, tożsamości, która musi zaniknąć.

Jeśli ktoś pisze, że powstania przynosiły Polsce wielkie straty - i oczywiście nie można tej prawdzie zaprzeczyć - to powinien zastanowić się także, co działo się z Polakami, kiedy nie powstawali. Tylko w latach 1832-1873 (z wyłączeniem okresu Wojny Krymskiej i Powstania Styczniowego) z terenu kadłubowego, małego Królestwa Polskiego wcielono do armii Imperium Rosyjskiego ponad 200 tysięcy młodych ludzi, z czego około 150 tysięcy zmarło lub zginęło gdzieś na służbie garnizonowej w kazachskich stepach, albo w walce z broniącymi swej niepodległości Czeczenami, albo od kijów rosyjskich kaprali. Najwyżej 20-25 tysięcy wróciło (po 25-letniej służbie) do kraju... To tylko jeden z elementów do bilansu pokory, pogodzenia z niewolą. Jeszcze większe straty niż powstania przynosiły Polsce, mieszkańcom jej ziem, kolejne lata obcego panowania. Ziemie polskie i ich ludność traktowane były - czy to z perspektywy Petersburga, czy Berlina, czy Wiednia - jako peryferie, mniej lub bardziej ważne, ale zawsze peryferie Imperium. Peryferie, które się wykorzystuje w interesie imperialnego centrum.

Walka – nie szaleństwo

Przeciwko takiemu traktowaniu, przeciwko trwaniu takiego położenia wybuchło kolejne powstanie: Styczniowe. Nie mogło nie wybuchnąć. Ugoda, jaką miał realizować wybrany przez Petersburg margrabia Aleksander Wielopolski, miała być w istocie pacyfikacją, ugodą bez polskiego społeczeństwa. Manifestacje patriotyczne ożywione w okresie tzw. rewolucji moralnej - w 1860, 61, 62 - zostały krwawo zduszone przez rosyjskie wojsko, strzelające do tłumów, wkraczające zbrojnie do kościołów. „Z szansą czy bez szansy zwycięstwa należy się bić, aby ustało bierne poddawanie się rzeziom” - tak nastroje pokolenia 1863 roku streszczał wybitny historyk tego czasu, Henryk Wereszycki.

Powstanie było aktem desperacji, ale nie było szaleństwem. Jego przywódcy szukali gorączkowo szans zwiększenia jego powodzenia: „czerwoni” zawarli porozumienie z tworzącym się obozem rosyjskiej radykalnej opozycji spod znaku Aleksandra Hercena i Michała Bakunina, licząc, że może apele o wspólną walkę przeciw carskiemu uciskowi znajdą także oddźwięk wśród rosyjskich żołnierzy. „Biali” z kolei zabiegali o pomoc dyplomatyczną mocarstw. Uzyskali nawet wspólne wystąpienie Anglii, Francji i Austrii w kwietniu 1863, wzywające Rosję do pojednawczego uregulowania sprawy polskiej. Przez chwilę wojna z udziałem Francji i ewentualnie Austrii przeciwko Rosji wydawała się wisieć na włosku...

Jednak nie owe, nieskuteczne, choć jak najbardziej racjonalne zabiegi o sojusze - dyplomatyczne i rewolucyjne - okazały się najważniejsze. Najistotniejsze było postawienie na pierwszym miejscu celów społecznych Powstania jak najkorzystniejszego uwłaszczenia chłopów. Pamiętamy, oczywiście, straszne obrazy z opowiadania Żeromskiego *Rozdziobią nas kruki, wrony...*: chłopci zdzierający zabitym powstańcom buty z nóg. Akcja powstańcza nie mogła przynieść w stosunku do mas chłopskich szybkiego efektu. W dłuższej jednak perspektywie okazała się mieć kapitalne znaczenie. Władze rosyjskie, chcąc odciągnąć chłopów od polskiej tożsamości, wobec tak wysoko podniesionej przez powstańczy Rząd Narodowy poprzeczki w licytacji o „chłopską duszę”, zaoferowały niezwykle dobre warunki uwłaszczenia. Dzięki nim chłop w Królestwie mógł szybciej niż w Rosji zapomnieć o pańszczyźnie. Mógł ostatecznie szybciej dojrzeć do spotkania z narodową tożsamością.

Dlaczego się spotkał ostatecznie z Polską? Dlaczego, choć Powstanie Styczniowe przegrało, to jednak ten cel swój osiągnęło? „Polskość - pisał Henryk Wereszycki - pokonana na polu bitwy, walczy w Królestwie dalej, ale już innymi metodami, o duszę chłopca polskiego. Praca oświatowa na wsi i w mieście, wielka imponująca akcja tajnej oświaty, przedłużenie jakby władz i działań tajnego Rządu Narodowego, to wszystko wywodzi się z ducha powstania styczniowego, z przekonania, że nie ma kapitulacji, że nawet klęska nie kończy walki o wolność.”

Powstanie Styczniowe nie wytworzyło tak wielkiej siły kulturowej, jaką wybuchła polistopadowa emigracja, ale przecież, jeśli rozejrzemy się choćby w jego takich śladach, jak *Gloria victis* czy *Nad Niemnem* Elizy Orzeszkowej, *Wierna rzeka* Stefana Żeromskiego, *Polonia* i *Lithuania* Artura Grottgera - to zobaczymy, jak potężne było to poczucie zobowiązania, które Powstanie po sobie pozostawiło. Choć byli surowi krytycy Powstania, jego poszczególnych, nierzadko rzeczywiście marnych, dowódców, to dominowała w całym 50-leciu, jakie upłynęło między 1863 a początkiem Wielkiej Wojny właśnie to poczucie wielkiego długu wobec tych, którzy zapłacili ofiarą swego poświęcenia za prawo do zachowania polskiej godności. Nekrologi umierających po latach uczestników 1863 roku, nawet jeśli potem wiedli długie, pełne innych zasług i dorobku życie, zawsze na pierwszym miejscu wymieniały to jedno: „powstaniec 1863 roku”. Poczucie uczestnictwa w wielkiej sprawie polskiej walki o wolność przeważało nad tendencjami do wyszydzenia, zrelaty wizowania tej sprawy. Praca organiczna podjęta po 1863 roku była nie zaprzeczeniem, ale przedłużeniem Powstania. Skoro oni walczyli, zginęli, my mamy obowiązek zrealizować ich cele, nie wolno nam z tego rezygnować. To był duch, który szczepiły swoim dzieciom tysiące takich matek, jak ta, która wychowała Józefa Piłsudskiego.

Żołnierze Pierwszej Kadrowej szykowali się do boju o niepodległość dokładnie w 50 rocznicę egzekucji ostatniego dyktatora Powstania. Stracony 5 sierpnia 1864 roku na stokach Cytadeli razem z czterema innymi urzędnikami władz powstańczych, eks-podpułkownik saperów armii carskiej sformułował ideowy testament Powstania w swych zeznaniach (w czasie wielomiesięcznego przesłuchania nie wymienił ani jednego nazwiska). *„Celem jedynym i rzeczywistym powstania naszego jest odzyskanie niepodległości i ustalenie w kraju naszym porządku opartego na miłości chrześcijańskiej, na poszanowaniu prawa i wszelkiej sprawiedliwości [...] Idea narodowości jest tak potężną i czyni tak szybkie postępy w Europie, że ją nic nie pokona...”*

Romuald Traugutt jest dziś kandydatem na ołtarze. Dwaj inni powstańcy są już świętymi Kościoła katolickiego. Dowodzący oddziałami powstańczymi na wileńszczyźnie Józef Kalinowski, po schwytaniu w 1864 skazany na karę śmierci, zamienioną na 10 lat katorgi w kopalniach nad Bajkałem (w Usolu i Nerczyńsku); pod odbyciu kary wybrał drogę duchowną, wstępując ostatecznie do zakonu karmelitów bosych jako ojciec Rafał, święty spowiednik, patron sybiraków, kanonizowany w 1991 r. Adam Chmielowski, znakomity malarz, przystąpił do powstania jako 18-latek. Walczył m.in. w bitwach pod Kurowem i Grochowiskami, zatrzymany przez Austriaków po przekroczeniu galicyjskiej granicy, zbiegł z twierdzy w Ołomuńcu ponownie do powstania. W końcu września 1863 roku, w bitwie pod Mełchowem koło Lelowa, stracił nogę. Wrócił do malarstwa, by wreszcie pójść swoją drogą ku świętości jako brat Albert - założyciel nowego zakonu, wspierającego najuboższych. Kanonizowany został w 1989 roku. Krzyż dzwignięty w powstaniu za Ojczyznę okazał się tylko przystankiem, chyba jednak ważnym, na owej drodze.

Krzyż Powstania Styczniowego był także przystankiem na drodze do niepodległości. Wywalczyli ją w 1918 - razem z Powstańcami Wielkopolskimi - i obronili w 1920 (razem z Powstańcami Śląskimi) ci, którzy o Powstaniu roku 1863 pamiętali z największym szacunkiem. Potem potęga dwóch sąsiednich kamieni młyńskich wrogich Polsce imperiów znów tę niepodległość starła. I wybuchały kolejne powstania: mniej znane, jak to w Czortkowie, które młodzież polska zorganizowała przeciw władzy sowieckiej dokładnie w rocznicę 1863 - 22 stycznia 1940 roku. Potem bardziej znane, wielkie: Warszawskie. I kolejne, choć bez nazwy powstania, kontynuujące tego samego ducha poświęcenia dla wolności i Polski: manifestacja młodzieży w Krakowie 3 maja 1946, potem Czerwiec Poznański 1956, wystąpienia milenijne w 1966, Marzec 1968, Grudzień 1970, czerwiec 1976, nowa rewolucja moralna - od Czerwca 1979 do Sierpnia 1980, potem znów walka przeciw stanowi wojennemu, aż po ostatnie strajki „Solidarności” - w Nowej Hucie i Stoczni Gdańskiej w kwietniu- -maju 1988.

To jest istota polskości: 255 lat walki o wolność. Od konfederacji dzikowskiej 1734 do strajków „Solidarności” 1988. W samym centrum tej długiej, podtrzymującej polskość tradycji jest Powstanie Styczniowe. A gdzie my w niej, wobec niej jesteśmy?

Pamięć 2013

W miejscowości Orło, w gminie Małkinia Górna, powiat Ostrów Mazowiecka odrestaurowany został w latach 2010- 2012 wyjątkowy zabytek: żeliwno-ceglana kaplica nagrobna z 1875 roku. Prace wykonało Nadleśnictwo Ostrów Mazowiecka. Ażurowa, wysoka

konstrukcja żeliwnego baldachimu, zwieńczona cebulastą kopułą i prawosławnym krzyżem kryła szczątki generała kawalerii Imperium Rosyjskiego, Andrieja Aleksandrowicza Kucyńskiego (1803-1875). Swój tytuł gen. Kucyński otrzymał za wierną służbę w żandarmerii carskiej, jako naczelnik III, a później IV Okręgu Korpusu Żandarmów. Był najwyższym rangą przedstawicielem żandarmerii rosyjskiej odpowiedzialnym za tłumienie Powstania Styczniowego. Za zasługi w tej materii otrzymał także majątek Brok. Historia milczy o jego jakichkolwiek zasługach dla okolicy, w której osiadł i spoczął na wieki. No, może niezupełnie na wieki. Kaplica splądrowana wiele lat temu, straciła dawno charakter sepulkralny. Dziś jednak przyciąga uwagę przejeżdżających drogą z Ostrowi do Małkini.

Tak się składa, że gubernia łomżyńska, w której centrum znajduje się Orło i okazały grób-pomnik gen. Kucyńskiego, była terenem szczególnie ostrych walk w czasie Powstania Styczniowego. Najtragiczniejszy epizod rozegrał się 21 lipca 1863 roku w pobliskiej Wygodzie pod Łomżą, gdzie wojsko rosyjskie, uprzedzone dzięki aktywności wywiadowczej Korpusu Żandarmów, zaskoczyło 50 bezbronných młodych ludzi, którzy kierowali się do oddziałów powstańczych działających w okolicy Czerwonego Boru. Po okrutnych torturach, z wydłubywaniem oczu włącznie, młodzi ludzie zostali zabici. Jediną pamiątką tej tragedii jest wysoki na 90 cm żelazny krzyż nagrobny w Wygodzie. Z okolic Łomży wywieziono ponad 600 powstańców i tych, którzy udzielili im pomocy na Syberię. Najbardziej okazałą pamiątką związaną z okresem Powstania Styczniowego jest dziś odnowiony grobowiec szefa żandarmów. Część ludności miejscowej, przechowującej pamięć kulturową powstania, czuje się tym faktem dotknięta. Dlaczego nie buduje się pomnika powstania narodowego, a odnawia swoiste mauzoleum naczelnego oprawcy?

Sejmowa Komisja Kultury odrzuciła propozycję ustanowienia roku 2013 rokiem specjalnych obchodów 150 rocznicy Powstania Styczniowego. Zdecydowały o tym głosy posłów Platformy Obywatelskiej i Ruchu Poparcia Palikota (posłowie SLD i PSL nie wzięli udziału w głosowaniu). Usprawiedliwiając tę decyzję, Urszula Augustyn, posłanka PO, stwierdziła, że Sejm może podjąć tylko trzy uchwały czczące wydarzenie czy osobę w danym roku, a rok 2013 ustanowiony już został rokiem Juliana Tuwima, Witolda Lutosławskiego i Jana Czochrańskiego. Przewodnicząca Komisji, Iwona Śledzińska-Katarasińska (PO, dawniej PZPR), dorzuciła jeszcze jeden argument: „Patron musi coś przynieść kulturze”.

Można się zastanowić nad tym argumentem, porównując znaczenie dla polskiej kultury prof. Czochrańskiego (światowej sławy metaloznawca, w czasie II wojny światowej obywatel III Rzeszy, w ostatnich latach uwolniony od zarzutu kolaboracji) z jednej strony, a z drugiej - dziedzictwo kulturowe roku 1863: wspomniane już dzieła Orzeszkowej, Żeromskiego, Grottgera, ale także Bolesława Prusa, Marii Rodziewiczówny, Maksymiliana Gierzyńskiego, Artura Grottgera, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego, aż po Stanisława Rembeka i Władysława Terleckiego. Można by uwzględnić również dzieła kultury zagranicznej inspirowane Powstaniem, jak choćby preludium symfoniczne Polonia, najbardziej znanego kompozytora brytyjskiego, Edwarda Elgara, cytujące motyw muzyczny hymnu powstańców - *Chorał* Ujejskiego. Przywołując słowa tego ostatniego: „Inni szatani tam byli czynni”. Nie o kulturę tu chyba chodziło.

Publicysta Jacek Żakowski był chyba bardziej szczery od posłanek PO. Na falach eteru wyraził swoje oburzenie, iż Senat nie był tak przezorny jak Sejm i jednak Powstanie Styczniowe uznał za godne uznania specjalnymi obchodami w 150 rocznicę: „Bym się zawahał, czy akurat te tradycje, bezmyślnej, beznadziejnej, bezsensownej walki, choć z całą pewnością szlachetnej, ofiarnej i patriotycznej, należy czcić właśnie teraz, kiedy wracają groźnie i bezsensownie w polskim myśleniu i polskiej polityce? Czy nadymać ten balon?”

A zatem szlachetność (niestety), ofiarność i patriotyzm znów zagrażają - jakiemuś myśleniu, nadziei i sensowi, uważa redaktor Żakowski. Zauważmy w jego interpretacji słowo „znów”. Ono wydaje się najtrafniejsze. Tak, oceny Powstania, jego znaczenia w polskiej historii zmieniają się, niektóre powracają po latach, inne ze wstydem jakby zanikają.

Od klęski do zwycięstwa (1864-1918)

Bezpośrednio po Powstaniu, w roku 1865 czy 1870, poczucie klęski, bezsensu w związku z tym wielkich poniesionych w Powstaniu ofiar, mogło być najżywsze. Widać było także z bliska głupotę, małość niektórych dowódców, strach, z którym nie zawsze skutecznie mogli się zmierzyć uczestnicy (zwłaszcza niedoszli). Choć i silne musiało być także wrażenie, jakie wywierało bohaterstwo, poświęcenie, ofiara - tych, którzy walczyli, polegli, zostali straceni, zesłani. Najzjadliwsze krytyki Powstania pisano zaraz po jego zakończeniu. Pisali je nie tylko zamówieni przez zaborców kolaboranci, ale również byli uczestnicy

jego walk, jak choćby Stanisław Koźmian, jeden z mistrzów krakowskiej szkoły „stańczyków”. Koźmian i jego rówieśnicy nie mogli widzieć, jakie długofalowe skutki mógł mieć ten przykład „szaleńczego” bohaterstwa.

Zupełnie inaczej można to było zobaczyć w 55 rocznicę Powstania: w roku 1918. Okazało się wtedy właśnie, że chłop - nasz przodek, uwłaszczony tak korzystnie i radykalnie - dzięki Powstaniu! - dojrzał już do polskości. Dojrzał do niej także dlatego, że już nie kojarzyła się z pańszczyzną, ale bardziej z tą wspaniałą walką o wolność, którą zapisały dzieła polskiej kultury: te, na których opierała się masowa inicjacja do polskości w czasach Sienkiewicza, Żeromskiego, Wyspiańskiego. I ten chłop obronił Warszawę w 1920 roku. Inaczej niż białoruski, ukraiński, rosyjski w 1917-1918 - obronił się przed pokusą zemsty klasowej i społecznej anarchii, do której nawoływali go bolszewicy. Oczywiście nie tylko chłopów ta złota legenda polskiej walki o wolność, w której centrum było Powstanie 1863 roku, podnosiła do polskości. Najlepiej może jej sens wyraził uczestnik zwycięskich walk 1918 i 1920 roku, a potem wielki historyk czasów Powstania, syn ukraińskiego socjalisty i dziedziczki rodu żydowskich księgarzy ze Lwowa - Henryk Wereszycki. W 1978 roku tak odpowiadał Tomaszowi Łubieńskiemu, który w swej głośnej w owym czasie książce *Bić się czy nie bić* znów potępiał powstańcze tradycje: [...] książka a przeciwstawia się pojmowaniu naszej niewoli w XIX wieku jako sprawy patetycznej. A właśnie tak odczuwało tę sprawę moje pokolenie - to **najszcześniejsze polskie pokolenie, które nie tylko walczyło o niepodległość, ale ją uzyskało**. A czy nie zgodzi się Pan z tym, że właśnie owe walki orężne i nieorężne ofiarne wysiłki dały narodowi siłę, która w istotny sposób pozwoliła Polsce odzyskać niepodległość? Jestem zdania, którego Pan nie podziela, że obrona słusznej sprawy dawała Polakom uzasadnione poczucie moralnej wyższości nad zaborcą, a to właśnie było źródłem dumy narodowej, czynnika tak bardzo istotnego dla przetrwania

niewoli. Dlatego we wszystkich moich publikacjach starałem się pobudzać dumę z naszych walk o niepodległość. Sądzę bowiem, że i dziś jest ona potrzebna”.

Tak, w 1918, 1920 i 1933, kiedy z pompą obchodzono 70 rocznicę Powstania Styczniowego, nikt nie miał wątpliwości, że bohaterska obrona słusznej sprawy - jak w 1863 roku - miała fundamentalne znaczenie dla tego, że Polska przetrwała. Przekonanie to było żywe i powszechne nie dlatego, że państwo, II RP, narzucało je w okolicznościowych akademiach. Było tak z tego powodu, na który zwrócił uwagę po latach Wereszycki: Polacy w II RP mieli to poczucie, że sobie, a raczej najdzielniejszym spośród siebie, zawdzięczają niepodległość, możliwość urządzania domu po swojemu. Że nikt nam wolności nie darował, ale że mieliśmy udział skuteczny w walce o nią - w powstaniu listopadowym roku 1918 w Królestwie Polskim, kiedy rozbrojone zostały zdemoralizowane już oddziały niemieckie, w dopełniającym je powstaniu wielkopolskim, potem w trzech powstaniach śląskich, a nade wszystko w zwycięstwie nad bolszewickim zagrożeniem w roku 1920. Z tej perspektywy widziane Powstanie Styczniowe było słupem milowym na drodze do zwycięstwa.

100 rocznica

Potem przyszła klęska: 1 i 17 września 1939. I kolejne powstania przeciw niej podnoszone, od masowej konspiracji zbrojnej (w AK przede wszystkim) i cywilnej, do kulminacji w Powstaniu Warszawskim. I przychodzące znów ze wschodu, z centrum dawnego Imperium Murawiewa, choć pod nowymi sztandarami, „mniejsze zło”. I znów poczucie przemożnej siły najeźdźców, z którą lepiej może się układać,

paktować, aniżeli walczyć bez szans. Wielopolski stał się, pod piórem Ksawerego Pruszyńskiego, znów symbolem politycznej mądrości. Głupi znowu byli powstańcy, zbrodniczy - ich dowódcy.

A jednak 100 rocznica Powstania, obchodzona w samym środku epoki Władysława Gomułki, była obchodzona godnie. Jej dziedzictwem były przede wszystkim kapitalne badania historyczne, kierowane przez prof. Stefana Kieniewicza, które przyniosły monumentalne publikacje źródłowe, wiele cennych monografii. Niezwykle ciekawe intelektualnie były także dyskusje prowadzone wówczas nad sensem Powstania. Najostrzej, w najbardziej demagogiczny i lizusowski pod adresem Moskwy sposób zaatakował sens polskiego wystąpienia w obronie wolności wspomniany na wstępie Stanisław Stomma, w artykule programowym „Tygodnika Powszechnego”. W podobnym duchu wypowiadali się (na innych łamach) m.in. Jan Dobraczyński i Aleksander Bocheński: Powstanie było wynikiem szaleńczego kompleksu antyrosyjskiego, niszczyło politykę rozumnej ugody.

„Tylko jeden zaborca - napisał Stomma - robił próbę jakiegoś kompromisu z Polakami, nie chciał całkowitego wymazania państwa naszego z mapy świata”. Tym szlachetnym zaborcą była oczywiście Rosja. Cóż, Stomma nie czytał jeszcze wydanej w ramach serii redagowanej przez profesora Kieniewicza kilkutomowej korespondencji namiestników Królestwa Polskiego z carem (Aleksandrem II), nie mógł także oczywiście poznać ostatniego dzisiaj słowa ustaleń historiografii polskiej (Henryka Głębockiego - *Fatalna sprawa. Kwestia polska w rosyjskiej myśli politycznej*, 1856-1866, Kraków 2010) i rosyjskiej (Michaiła Dołbiłowa, *Russkij kraj, czużaja wiera...*, Moskwa 2010).

Gdyby mógł, zobaczyłby, jak radykalnie, jak daleko mijał się z prawdą. W 1963 roku jednak, tak jak w 1863, wiedza o tym, jak wygląda polityka rosyjskiego Imperium wobec polskości i Polaków była znana.

Do niej nawiązywali polemisci ideologa „Tygodnika Powszechnego”. Należał do nich nie tylko prymas kardynał Stefan Wyszyński, ale również kilku uczonych. Wśród nich m.in. prof. Konstanty Grzybowski z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który na kartach „Życia Literackiego” odrzucał tezy „docenta Stommy”. Przypomniawszy cenę biernej akceptacji rosyjskiego panowania: w jednym tylko powiecie piotrkowskim z 11 tysięcy rekrutów powołanych na służbę do Imperium między 1833 a 1856 rokiem, do kraju wróciło zaledwie 498 inwalidów-żebraków. Ci co zginęli lub umarli gdzieś w głębi Imperium, na jego służbie, 95 procent poborowych w tym akurat wypadku - to właśnie były ofiary zgody na podporządkowanie, o ileż liczniejsze od ofiar walki o wolność. A jednak setki Polaków służyło przed Powstaniem 1863 roku w carskim aparacie represji (jak choćby wspomniany gen. Kucyński), wielu z nich brało jeszcze czynny udział w tłumieniu Powstania. Ale właśnie po 1863 roku było to już coraz trudniejsze. O tym właśnie przypomniawszy Polakom roku 1963 Grzybowski: „Nie każda ugoda prowadzi do programu zapomnienia o polskiej odrębności narodowej. Nie każda ugoda prowadzi do tego, że Polak jest w czasie powstania walczącym z nim oficerem rosyjskim, carski szpiclem czy carskim prokuratorem - a było takich wielu. Ale granice między tą postawą ugody, która polega na braniu od zaborcy tego, co jest z korzyścią dla narodu w zamian za kompromis z nim, a tą postacią ugody, która, która prowadzi do zaprzęgnięcia narodu i służenia zaborcy przeciw własnemu narodowi - te granice są płynne. [...] Stefan Bobrowski miał rację, jeśli widział w powstaniu środek mający przekreślić możliwość tej ewolucji, która przez ugodę prowadzić mogła do upatrywania w Polakach tylko jednego z plemion narodu rosyjskiego, czy do lojalności wobec

zaborczego rządu w każdej sprawie i przeciw każdemu, także przeciw własnemu narodowi. [...] Granica między lojalnością wobec własnego narodu a renegactwem stała się jasna i stanowcza. I chyba - jeśli się patrzy z perspektywy stu lat - to jedna z wielkich zasług tych, którzy odrzucili rzekomy 'Piemont' pod rządami Aleksandra II (po którym - pamiętajmy - przyszedł Aleksander III). Ich alternatywą zaś nie były zgłiszcza, lecz takie przekształcenie narodu, by ostatecznie już przestał być szlacheckim i by wobec zaborcy był jednością."

Potwierdzał tę diagnozę krakowski profesor Stefan Kieniewicz na łamach wrocławskiego tygodnika „WTK”: „rządzenie Polską rękami Polaków pod rządami carskimi stało się po Powstaniu Styczniowym niemożliwe. To było jedno z następstw, które sprawiło m.in. to, że mimo klęski oczywistej naród się stosunkowo szybko pozbierał i odrodził. Bo ostatecznie te masowe ruchy polityczne, jakie zaczynają się od lat osiemdziesiątych, to jest kwestia, która chyba świadczy o tym, że długotrwała to klęska 1863 roku nie była”. Najdobitniej zaś podsumowywał redaktor wrocławskiego tygodnika, Wojciech Janicki: *„Powstanie Styczniowe obroniło nas w jakiś sposób przed moralnym spodleniem. Nie tylko dlatego, że zlikwidowało stan, w którym administracja polska reprezentowała reżim policyjny Petersburga na naszym terenie, ale również dlatego, że na gwałty - a gwałtem przede wszystkim była branka Wielopolskiego - można się godzić, tylko pytanie: jak długo. Jeżeli człowiek zbyt długo godzi się na gwałt i przemoc, to przecież to ma w społeczeństwie jakieś kolosalne konsekwencje moralne.”*

Duma odrodzona i zabrana

Na przedstawioną przez Stommę i Dobraczyńskiego obronę poddania Rosji (w nowej, sowieckiej wersji), obronę zgody z każdym, kto jest od nas silniejszy, zgody, która oznacza ostatecznie podporządkowanie, najpiękniejszą odpowiedź historyka przedstawił w 1963 roku Henryk Wereszycki na stronicach „Odry”. Nie będę jej tutaj przywoływał. Chcę raczej przypomnieć, że 19 lat później, na łamach tego samego „Tygodnika Powszechnego”, który w 1963 roku uczynił z potępienia tradycji powstańczej swój programowy manifest, Henryk Wereszycki mógł napisać te słowa: „tradycja powstania styczniowego stała się jednym z fundamentów wychowania narodowego. Żyła ona przez cały czas od jego upadku aż do odzyskania niepodległości. Bo też to powstanie objęło bardzo szerokie masy uczestników, a tym samym stało się niezmiernie silnym bodźcem uświadomienia narodowego - siły sprawczej zwycięstwa w walce o niepodległość. Powstanie styczniowe uczy nas, że naród polski potrafi przetrwać każdą klęskę i uczynić z niej zaczyn późniejszego zwycięstwa”.

Był rok 1982, trwał stan wojenny, który znów, tak jak rok 1863 dla wielu stał się granicą, wyraziście nakreśloną między (wcześniej akceptowaną) ugodą a podłością. Ludzie, którzy w 1956, 1966, 1968, 1970, 1976 nie widzieli jeszcze kolejnych wystąpień w walce o polską wolność, kontynuacji tego samego ducha, z którego wyrastał rok 1863, ci sami ludzie w Sierpniu 1980 roku, albo już wcześniej, w czasie I pielgrzymki Jana Pawła II od Ojczyzny, albo wreszcie 13 grudnia 1981 roku - zobaczyli, że ta walka trwa i że trudno stać z boku. I wielu z nich przeżyło wtedy najpiękniejsze może chwile swego życia. Jak redaktor Żakowski w Biurze Informacji „Solidarności”, jak red. Katarasińska-Śledzińska, która po wystąpieniu z PZPR dołączyła do współpracowników prasy

podziemnej, tak jak wcześniej jeszcze prof. Stanisław Stomma - w samotnym geście sprzeciwu wobec haniebnych poprawek do konstytucji PRL. Oni też mieli swój udział w sztafecie polskiej wolności.

Ale stan wojenny był także czasem łamania nadziei, który skończył się kompromisem, ugodą - z szefem Korpusu Żandarmów. Ceną tamtej ugody była także zmiana historycznej perspektywy, a w ślad za nią historycznej edukacji, jaką będą prowadziły wielkie media, zorganizowane przez twórców owego kompromisu dla III RP. Sednem tej nowej lekcji historii było odebranie Polakom poczucia własnego zwycięstwa. To nie powstania, nie walka „Solidarności”, nie wspaniała polska niezgoda na zniewolenie - ale łaska panów PRL, zgoda tych, którzy nad tymi panami mieli władzę: panów na Kremlu, wreszcie zmiany światowych koniunktur - to nam przyniosło wyzwolenie. Pacta sunt servanda - pamiętne słowa wypowiedziane przez rzecznika OKP, Janusza Onyszkiewicza w dniu 5 czerwca 1989 roku do wyborców „Solidarności” oznaczały takie radykalne przewartościowanie. Od werdyktu tych wyborców, którzy uwierzyli w siłę swojego głosu, siłę swojej niezgody na dalsze trwanie systemu biedy i opresji - i odrzucili „listę krajową” PZPR w wyborach, ważniejszy okazał się układ zawarty z panami PRL. Ten pakt okazał się ważniejszy od werdyktu społecznego. I trzeba było głosowanie powtórzyć... To właśnie było złamanie poczucia własnego zwycięstwa, złamanie poczucia podmiotowości. Potem przyszła instrukcja pierwszego „solidarnościowego” szefa telewizji, Andrzeja Drawicza, żeby w audycjach 13 grudnia 1989 roku po równo oddawać rację tym, którzy osiem lat wcześniej strzelali i tym, do których strzelano. Tak, to zmieniało spojrzenie także na wszystkie polskie powstania...

Ale kto by się przejmował. Żyło nam się coraz lepiej, tak jak życzył nam tego przed 160 laty Dymitr Gawryłowicz Bibikow. Mieliśmy przecież jednak wolny kraj. Kraj wyzwoleńców, już nie powstańców. Oczywiście nie wszyscy godzili się z tą perspektywą. Były wybory 2005 roku. A potem był 10 kwietnia 2010 roku - i rzeczywiście, tak jak to zasugerował red. Żakowski - wróciły pytania o polską wolność. Skoro Rosja Putina okazuje się najzaufanszym dla polskiego rządu partnerem do wyjaśnienia okoliczności tej tragedii, która się pod Smoleńskiem dokonała, to te pytania musiały wrócić. Wróciły i wtedy, kiedy dziesiątki tysięcy ludzi oddawały na Krakowskim Przedmieściu hołd tym, którzy zginęli pod Smoleńskiem. I kiedy na ulicach Warszawy, znów, jak w 1861, 1862, najbardziej przeszkadzał władzom Krzyż związany z biało-czerwoną flagą. Te pytania wracały, kiedy z inicjatywy marszałka polskiego sejmiku, a potem (po kwietniu 2010 roku) Prezydenta RP, postawiony został pomnik żołnierzy Armii Czerwonej idących szturmować Warszawę w 1920 roku. I wtedy, kiedy można się przekonać (a można się o tym przekonać codziennie), że uznany za patrona polskiej stabilizacji geopolitycznej Władimir Putin nie jest jednak dobrym patronem wolności, ani w swoim kraju, ani wobec sąsiadów. Tak, te pytania wracają. I tak wraca spór o granice ugody i sens Powstania.

Jaki był ten sens? Taki, jak chciał Stanisław Koźmian zaraz po 1863, Stanisław Stomma w 1963, jak politycy partii rządzącej w 2013 - czy może taki, jak to wyraził Józef Piłsudski w 1914, Henryk Wereszycki w 1963, Lech Kaczyński w 2008 roku w Tbilisi („za naszą i waszą...”)?

Mickiewicz przypomina, iż „Ten tylko pozna przeszłe, kto zna przyszłe wieki.” Poznamy ostateczny sens Powstania w historii Polski, kiedy ta historia się skończy. Wtedy ktoś będzie mógł zapytać, czy Powstanie ten koniec przybliżyło, czy też oddaliło. Wydaje mi się – z perspektywy 150 lat dopiero, jakie od niego upłynęły – że bardzo trudno będzie wykazać, iż bohaterski zryw Polaków w obronie wolności był krokiem w stronę końca tej historii. Orzeszkowa i Żeromski tak chyba nie myśleli.

Skoro Powstanie budzi emocje znów, dzisiaj, to znaczy, że tę historię ożywia, że odnawia Polskę. Jeśli ktoś tego nie chce – niech powie wprost.

Prof. Andrzej Nowak

Artykuł pochodzi z książki 1863 z serii Zapomniane Skarby Literatury Polskiej. Przedrukujemy za uprzejmą zgodą wydawnictwa Sic!